

Wrocławski Teatr Współczesny, Duża Scena
Christo Bojczew

orkiestra „titanic”

przekład: Hanna Karpińska, reżyseria: Krystyna Meissner,
scenografia: Andrzej Witkowski, opracowanie muzyczne: Piotr Dziubek,
ruch sceniczny: Tomasz Wygoda, konsultacje iluzjonistyczne: Maciej Pol,
premiera: 24 lutego 2007



Meło – Przemysław Bluszcz; fot. Archiwum Teatru

lekcja

NATO pomyłkowo zrzucają jedzenie i mundury wojskowe, a pacjenci zaczynają formować oddział pod wodzą jednego z nich, pułkownika Fietisowa), był poruszającą diagnozą współczesnego stanu ducha Europy, utworem porównywanym z *Lotem nad kukułczym gniazdem* Kena Keseya. *Orkiestra „Titanic”* to jedynie dalekie echo tamtej sztuki. Opowiada o losach czworga społecznych wyrzutków, wegetujących na zapomnianej stacji kolejowej, gdzie nie zatrzymuje się żaden pociąg – choć nie gaśnie w nich nadzieja, że kiedyś tak się jednak stanie: będą mogli obrabować pasażerów i zamienić zdobycze na wódkę. Niespodziewane pojawienie się na stacji (w kufrze, który wypadł z pędzącego pociągu) magika Harry’ego uświadamia im jednak, że ich największym pragnieniem jest wyrwać się z tego miejsca. Okaze się to jednak możliwe nie dla wszystkich, i nie w sposób, jakiego oczekiwali.

Sztuka Bojczewa balansuje na granicy realności i iluzji. Zaczyna się zupełnie realistycznie, ale powoli nasiąka elementami cudowności, magii. W werystycznie ukazany dramat ludzi wyrzuconych poza margines społeczeństwa, w stylu Nikołaja Kolady, wkrada się klimat rodem z powieści Marqueza (*toutes proportions gardées*). Ów jednak – skądinąd interesujący – pomysł przyćmił fabułę, a także bohaterów, skazując ich na status marionetek służących do zreferowania głównej idei. *Orkiestra „Titanic”* jest przegadana i nasycona banałami, których im bliżej (nadmiernie rozbudowanego) finału, tym więcej.

Sensem życia bohaterów okazuje się nie tyle nadzieja na wyjazd z zapyziałej stacji, ile samo czekanie – na pociąg, na odwrócenie losu, na cud. Ale przesłanie sztuki jest jeszcze inne. Od momentu przybycia Harry’ego pozostali zaczynają patrzeć na świat oczami magika. Wierzą w rzeczy, które istnieją jedynie w ich wyobraźni, ulegają swoistej zbiorowej hipnozie. Pociągu, który wreszcie zatrzyma się na ich stacji, tak naprawdę nie będzie. Nie będzie również samych bohaterów – po kolei znikną w kufrze Harry’ego, jak gdyby nigdy nie istnieli. Na pustej stacji zostanie tylko Doko; być może dlatego, że nie będzie już nikogo, kto mógłby potwierdzić jego (nie) obecność. Istniejemy jedynie wobec innych ludzi – zdaje się mówić Bojczew. Nasz byt jest rozdarty między tym, co realne, a tym, czego nie można zauważyć i przyjąć „na rozum”. Pojawiamy się w pewnej rzeczywistości, ale w końcu wszyscy przechoodzimy na drugą stronę, zmierzając ku temu, co nierealne. Co po nas zostaje? Tylko wspomnienia tych, którzy nas znali.

Wrocławski spektakl jest również zawieszony między realnością a iluzją. Najdobitniej świadczy o tym scenografia Andrzeja Witkowskiego. Na pierwszym planie znajduje się jak najbardziej rzeczywisty fragment kolejowego toru, sięgającego od kulisy do kulisy, który sprawia wrażenie jakby „wychodził” poza teatr. Postacie egzystują na brudnym, szarym peronie, gdzie pozostał jedynie zniszczony semafor i zrujnowany dworcowy budynek. Za peronem czai się tajemnicza i złowroga ciemność – symbol tego, co nierealne – w której od czasu do czasu znikają bohaterowie.

Niestety, początkowe zaskoczenie widza, osiągnięte poprzez wprowadzenie do realistycznego dramatu elementów nadprzyrodzo-

Christo Bojczew, podobnie jak jego bohater, Harry Houdini z *Orkiestry „Titanic”*, lubi uwodzić tłumy. W wieku trzydziestu kilku lat porzucił wyuczony zawód inżyniera mechanika i zajął się pisaniem dramatów i scenariuszy filmowych. Był też gospodarzem popularnego autorskiego show w bułgarskiej telewizji. A w 1996 roku kandydował w wyborach prezydenckich, zdobywając około dwóch procent poparcia. Jego kampania przypominała jednak bardziej satyryczny happening niż poważną działalność polityczną. I mogła dostarczyć Bojczewowi materiału do kolejnych dramatów opowiadających o rozbudzaniu złudzeń i wiecznym poszukiwaniu przez ludzi lepszego życia. Takich jak *Orkiestra „Titanic”*.

Sztuka nie dorównuje jednak najsłynniejszemu dziełu bułgarskiego autora – *Pułkownikowi-Ptakowi*. Słodko-gorzki dramat o pacjentach szpitala psychiatrycznego, z których każdy, aby przetrwać, wymyśla sobie własny świat i których życie zostaje odmienione przez przypadek, w jednej chwili nabierając sensu (w okolicy szpitala wojska

magii harry'ego h.

nych, ustępuje miejsca znużeniu. Trudno uwierzyć w ten świat, choć nie dlatego, że nie wierzy się w magię. Przemiana bytu bohaterów w niebyt jest raczej opowiedziana, niż pokazana, i to za pomocą powtarzanych w kółko, egzaltowanych tekstów w rodzaju: „życie człowieka to one-man show”.

Sceniczny świat wykreowany przez Krystynę Meissner jest także dlatego mało przekonujący, że właściwie niewiele wiemy o ludziach, którzy go zamieszkują, o ich przeszłości, o powodach, dla których porzucili dawne życie. Przywódcą czworga życiowych rozbitków jest Meto (udana rola Przemysława Bluszcza) – były muzyk, który swoją wrażliwość kryje pod pozorami bezwzględnego cynizmu. Z poprzedniego „wcielenia” została mu jedynie umiejętność czytania nut, która w obecnej sytuacji jest mu niepotrzebna. Meto na każdym kroku lubi zaznaczać, jakie ma wykształcenie, ale, podobnie jak jego towarzysze, tak naprawdę marzy jedynie o kieliszku wódki. Jak dyrygent orkiestrę, tak on ustawia Luko, Doko i Lubę w szeregu, na peronie, ćwicząc z nimi i każąc im opanować do perfekcji zachowanie na wypadek zatrzymania się pociągu, z którego mogliby ukrąść komuś walizkę. Meto, najinteligentniejszy z nich, okaże się też najmniej podatny na urok i sztuczki Harry'ego. Do końca będą nim targały wątpliwości, nie będzie chciał uwierzyć w to, czego sam nie dotknie.

Pozostali bohaterowie wegetujący na kolejowej stacji są właściwie naszkicowani jedną kreską. Luba (Maria Czywkin) to kobieta upadła, która przez niemal cały spektakl siania się na nogach pod wpływem alkoholu. Luko (Bogusław Kierc), emerytowany zawiadowca stacji, wyróżnia się tym, że zna na pamięć rozkład jazdy pociągów – równie nieprzydatny, jak umiejętność czytania nut przez Meto. Doko (Piotr Łukaszczyk), były treser cyrkowy, jest owładnięty obsesyjną myślą, że przez jego nałóg zginęła ukochana niedźwiedzica, którą się opiekował – przepił bowiem pieniądze na jedzenie dla niej.

Najciekawszym bohaterem jest niewątpliwie magik, przybywający w zamkniętym kufrze na stację, by zmienić życie jej mieszkańców. Przedstawia się jako Harry Houdini (Maciej Tomaszewski). Houdini to postać rzeczywista, pseudonim jednego z najstynniejszych iluzjonistów przełomu XIX i XX wieku, specjalisty od ucieczek (nazywanego „The King of Escaping”). Potrafił on uwolnić się nawet z bańki na mleko czy z kaftana bezpieczeństwa.

Harry zjawia się na zapyziałej stacyjce niczym postać z innego świata. Ma na sobie nieskazitelny frak i cylinder. Nie okazuje zdziwienia sytuacją, w której się znalazł. Do końca zresztą pozostanie nieprzenikniony i zdystansowany, z wyjątkiem kilku scen słabości, gdy, podobnie jak pozostali, skłonny jest oddać i obiecać wszystko za łyk wódki. To zachowanie Harry'ego jest zresztą najbardziej intrygujące – sprawia, że nie mamy pewności, kim jest ta postać cyrkowego sztukmistrza, z wiecznie przyklejonym uśmiechem, który czyni „cuda” na oczach pozostałych (nawet wbity magikowi przez Meto nóż w brzuch – aluzja do śmierci rzeczywistego Houdiniego – pozostaje tam, gdzie został wkłuty, nie zadając mu żadnej rany), a nie potrafi poradzić sobie

z prozaicznym brakiem alkoholu. Harry uświadamia bohaterom, że to, czego pragną, znajduje się w zasięgu ich rąk; nie jest niemożliwe nie tylko zatrzymanie się pociągu na stacji, ale i zobaczenie żywej niedźwiedzicy Doko – choćby w absurdalnej roli kasjerki sprzedającej bilety czy maszynistki pociągu.

Harry początkowo prezentuje pozostałym proste sztuczki prestidigitatorskie, okraszając każdy „numer” deszczem złotego pyłu. Ale z czasem jego magia staje się coraz bardziej skomplikowana. Wymaga zaangażowania mieszkańców stacji, ich wiary. Houdini organizuje projekcje filmów poświęconych jego sztuczkom, choć być może wcale nie ma ekranu, na którym magik wyświetla obraz – widzimy tylko zapatrzone twarze bezdomnych. Przygotowuje również bohaterów na przyjazd wyczekiwanego pociągu, zapraszając ich na „lekcje życia”. Ale to, czym karmi ich uszy, to tylko stek bzdur, wyświechtanych banałów na temat życia, które Houdini każe im zapamiętać. Harry wprowadza pozostałych w dziwny trans, jaki ogarnia człowieka w stanie hipnozy. Są oni w stanie uwierzyć we wszystko, nawet w to, że... pociąg może się wreszcie zatrzymać. I oto bohaterowie przeżywają największe rozczarowanie. Okazuje się, że pociąg, do którego wsiedli, nie istnieje. Nie ma współpasażerów, nie ma maszynisty. Ogarnia ich tak wielkie przerażenie, że teraz największym marzeniem, większym nawet niż dotychczasowe pragnienie znalezienia się w pociągu, staje się – opuszczenie go, powrót na stację. Cel okazuje się daleki od ich wyobrażeń, nie dorasta do nich. A ważniejsze od samego celu staje się dążenie do niego.

Skąd tytuł – Orkiestra „Titanic”? W wywiadzie zamieszczonym w programie do spektaklu Christo Bojczew mówi, że wziął się on z iluzji: „Człowiek podąży za nią do ostatniej chwili, nawet kiedy ma iść ku nieznanemu. Nigdzie oczywiście nie pokazałem moich bohaterów odchodzących w śmierć, oni przenoszą się do innego, piękniejszego świata”.

Podobno orkiestra na Titanicu grała do samego końca. Gdy statek tonął, początkowo żaden z pasażerów nie chciał wyjść na pokład. Mówili między sobą, że Titanic jest niezatapialny, że to niemożliwe, by poszedł na dno. Poza tym na zewnątrz było zimno. Zatem krótko po północy orkiestra przeniosła się z salonu na pokład, aby zachęcić ludzi do wsiadania do szalup ratunkowych. Do ostatnich minut pasażerom towarzyszyły dźwięki muzyki. Do końca starano się zachować pozory normalności. Przy pomocy iluzji próbowano zmienić rzeczywistość.

Orkiestra wywołała w ojczyźnie Bojczewa głośną dyskusję. Utożsamiano w niej Harry'ego z carem, który został premierem i mamił Bułgarów „pociągiem do Europy” (dyrygowani przez Houdiniego bohaterowie w pewnym momencie odśpiewują chóralnie *Odę do radości*), a w niedźwiedzicy dopatrywano się aluzji do Rosji lub Turcji. Sam autor zżyma się na te polityczne interpretacje. Przedstawienie Krystyny Meissner, mimo dobrego aktorstwa i ciekawej scenografii, jest jedynie poprawne i niewiele (oprócz sztuczek Houdiniego) można z niego zapamiętać.